

ELIZA

ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Eliza Orzeszkowa

Gloria victis

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Gloria victis / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Eliza Orzeszkowa

Gloria victis

(r. 1863)

Leciał wiatr światem ciekawy, niespokojny, słuchał gwarzeń, opowiadań wód, zbóż, kwiatów polnych, drzew przydrożnych i – szumiał. Szumiał o wszystkim, co widział, co słyszał na szerokim, wielkim, na przedziwnym świecie i leciał, aż przyleciał do krainy, w wody, trawy i drzewa bogatej, która nazywa się Polesie litewskie.

Hej, przestworza wolne, przestworza rozłożyste wiatrowi prędkiemu na równinach, co skraje niebios dokoła podpierają bez przeszkód, bez zasłon. Nie uderzy się tu wiatr prędko o żadną górę ani o żaden pagórek, nie powstrzyma lotu jego żadne wysokie miasto i chyba tylko las przed nim stanie z obliczem ciemnym i nad łąkami bezkresnymi, nad rozlanymi po nich wodami zaszepecze słowo: tajemnica!

Ale dla wiatru las tajemnic nie ma. Są to dwaj przyjaciele. Przenika wiatr leśne gęstwiny od skraju do skraju i one mu wszystko, co widziały, słyszały, opowiadają. Przenikają się wzajemnie i w noc gwiazdziste, w dzień od śniegu białe, w wieczory jesienne od chmur posępne, od deszczu szemrzące, wiodą ze sobą długie przyjaciół rozmowy.

Leciał tedy wiatr nad Polesiem, gdy letnie słońce miało się ku zachodowi i w blasku jego smółki na łąkach stały zarumienione jak zorze, a wody oblekały się w barwy tęczowe. Na wodach w szyby wieloramienne, w strugi leniwe rozlanych jaśniały fiolet, purpura i złoto, a nad nimi, w powietrzu, rozpościerała się cisza błękitna, głęboka.

Wiatr ciszy nie mącił, albowiem nie był z wiatrów takich, co grzmia i huczą, wstrząsają i obalają, ale z takich, co kochają świat. Latał po świecie, ażeby zbierać jego prawdy i baśnie, minione dzieje, wyronione jęki, echa staczanych walk, ażeby zbierać pyłki jego nadziei, żuźle jego żalów, tony jego pieśni i nieść je w przestrzeń, w dal, w czas, w pamięci, w serca...

Przeleciał wiatr prędko nad łąkami rozległymi, łagodną pieszczotą muskając w locie rumiane smółki i czerwone szczawie, łagodną swawolą w drobne fale marszcząc tęczowe wód powierzchnie, aż rozwinęła się przed nim wstęga wody wcale niż tamte innej, cicho stojącej w korycie rękoma ludzkimi wyłobionym.

Wiedział wiatr, co to za woda i jak się nazywa. Przed połową stulecia tu był i wiedział, że jest to Kanał Królewski. Hej, hej, ten pasek wody bladobłękitnej, sennej, jakaż mu to przeszkoda!

Zanim motyl zdołał wzbic się z przybrzeżnej trawy na szczyt situ, u którego zwinął do snu połączane skrzydła, wiatr przeleciał nad Królewskim Kanałem i oko w oko spotkał się z roztoczonym jak wzrokiem sięgnąć, wysokopiennym, cienistym, przezroczystym lasem. Odkąd tu był, pół stulecia upłynęło, jednak poznał przyjaciela.

– Jak się masz? – zadmuchał wesoło.

Las w odpowiedzi zaszumiał:

– Witaj, miły latawce!

I wleciał wiatr do lasu uradowany, zwinny, przelatywał wśród świerków, brzozy, olch, dębów, ramionami owijając pnie starych przyjaciół i skrzydłami na ich konarach składając pocałunki przywitalne.

– Jak się macie? – szemrał i szeptał. – Coście przez czas ten widziały, słyszały? Co się tu u was, dokoła was działo, stawało?

A stare świerki, dęby, brzozy rozłożyste, ramionami powiewając, odpowiadały:

– Działy się tu i stawały rzeczy dziwne, rzeczy głośne, dzwoniące, płaczące, rozlegające się krzykami, jękami...

– Co, co, co się działo? Jakie, jakie, jakie rzeczy? – z szybkością niezmierną szumił, pytał wiatr, gdyż po to tylko istniał, aby dzieje ziemskie zbierać i po ziemi je roznosić albo nawet niekiedy pod samo niebo wznosić i niebu pokazywać.

Po lesie błąkały się światła zachodzącego słońca, w szerokie, złote pasy ubierając pnie drzew starych, na mchach i paprociach migocząc mnóstwem iskier, w rozkwitłych różach dzikich zapalając rubinowe serca.

Róż dzikich, traw, paproci pełna była polana bardzo rozległa, wyniosłymi drzewami zewsząd otoczona, na którą wiatr wleciał i wnet po niej uwijając się począł z szybkością nadzwyczajną, wznosząc się i opadając, badając, szukając, na różne tony szumiąc:

– Co się tu działo? Co się tu, na tej polanie, działo? Coś osobliwego, coś nadcodziennego dziać się tu musiało! Czuję krew! O! długo, przedługo ziemia wydaje z siebie woń krwi swych dzieci, ludzi! Słyszę jęki! O, długo, przedługo powietrze trzyma pod obliczem nieba jęki dzieci jego, ludzi! Tu był bój jakiś i tu były zgony! Tu były rany, tętenty koni, krzyki! Mówcie, drzewa kochane, opowiadajcie, mówcie!

Drzewa milczały, tylko po ich gałęziach przebiegł dreszcz lekki, krótki, jakby z zimna nagłego powstały, co dziwne było w ten ciepły dzień letni.

A właśnie w tej chwili wiatr z gwałtownością u niego niezwykłą, z szumem namiętym zapytywać począł:

– A toż co? A to co jest takiego? Tego natura nie uczyniła! To uczyniły ręce ludzkie? Tu nigdzie natura pagórków nie usypywała! Ten usypyany jest przez ludzi! Kto? Po co? Dlaczego? A tenże krzyżyk na pagórku, wśród liliowych dzwonek, Boże, jak mały, prosty, biedny! – Co znaczy? Mówcie, drzewa, o mówcie, błagam!

Wtedy dąb wyniosły i silny, któremu kępa zwisających w dół gałęzi czyniła brodę długą, brzoza wysmukła i cała w długich, ku ziemi opadających warkoczach, świerk wyprostowany, w hełmie z iglicą strzelistą na szczycie, odpowiedzieli chórem przyciszonym szumów:

– To jest mogiła!

– Taka wielka, taka wielka, taka wielka mogiła! – zadziwił się wiatr.

Brzoza westchnęła:

– A krzyżyk tak mały!

A dąb zagadał:

– Śpi w niej wiele serc męźnych, spalonych na ołtarzu...

– Wiele serc, a krzyżyk jeden – zadziwił się znowu wiatr.

A brzoza znowu westchnęła:

– I taki mały, biedny!

Wyprostowany świerk potrząsnął hełmem zdobnym w strzelistą iglicę i przemówił:

– Jam najwyższy w tym lesie, najdalej widzę, wiem: są na ziemi bohaterzy wieńczeni i nie wieńczeni, mający pomniki i ich nie mający.

Nabożnie wiatr wyszeptał pytanie:

– Jestże to mogiła bohaterów?

– Bezimiennych – odpowiedział świerk.

A dzwonki liliowe, gęsto dokoła krzyżyka rosące, cicho zadzwoniły:

– Pomarłych młodo, młodo...

– I w mękach – szepnęła róża dzika u szczytu pagórka rosąca, przy czym od rubinowego serca swego oderwała płatek jeden i na pagórek go rzuciła.

Upadł płatek do motyla podobny na trawy wysokie, a róża westchnęła:

– Ja jedna kwiaty na tę mogiłę rzucam. Co lata, od pół stulecia prawie, rzucam na nią wonne płatki moje, ja jedna!

Tu znowu odezwały się dzwonki liliowe:

– A my dzwonimy pacierz żałobny. Co lato, od pół stulecia prawie, wydzwaniamy nad tą mogiłą pacierz żałobny... my jedne!

Wtedy wiatr prędko położył się na pagórku mogilnym, znieruchomiał. Ludzie widzieć by go nie mogli, lecz drzewa, trawy, kwiaty widziały.

Ciało jego przezroczyście, powiewne, z kryształu i szronu utkane, wydłużyło się na pagórku w skrętach wężowych i tysiącem złotych odbić zaświeciły w nim blaski zachodzącego słońca. Świeciły i migotały błyszczące odbicia te w skrzydłach jego ogromnych, które jak fale płynnego kryształu opadły na trawy polany, we włosach jego, które jak pajęcza tkań ze szronu rozpostarły się nad polaną, w ramionach jego, które jak kryształowe kolumny wznosiły się ku drzewom, gdy w powietrzu płynęło szemranie błagalne, ciche.

– Mówcie, o, starzy wiatru prędkiego przyjaciele! Wy, co przez wieki mieszkacie w świątyni dumania i czołami niebotycznymi podpieracie stropy samotni nieskończonych, zamyśleni świadkowie dziejów ziemi, tysiącoustni a milczący stróże mogił leśnych, bezimiennych, zapomnianych, nieuczczonych, wyśpiewajcie mi o tej mogile strofę życia i strofę śmierci, abym mógł unieść ją pod niebo i pokazać niebu, a potem nieść nad ziemią w przestrzeń, w dal, w czas, w pamięci, w serca...

Ostatni rąbek tarczy słonecznej za skraj ziemi zasunął się i zniknął. Natomiast zorza wieczorna w purpurze i płomieniach podniosła się za lasem i las napełniła światłami pożogi. W powietrzu, pomiędzy liśćmi drzew, na krzakach i trawach, rozsypały się okruchy świetlnej łuny niebieskiej, mające czerwoność i ognistość płonących kropeł krwi.

Stary, potężny dąb, pałającymi kroplami krwi na gałęzistej brodzie świecąc, rozwarł szerokie ramiona, powiał nimi w powietrzu i tak szumieć zaczął:

– Przyszli tu w kilkuset ludzi i rozłożyli się obozem gwarnym, tłumnym, pstrym od odzieży rozmaitej, pobłyskującym orężem rozmaitym.

Jedną tylko część odzieży mieli jednostajną: czapki czworokątne barwy amarantusów albo polnych chabrów i jedną cechę wspólną wszystkim: młodość. Samo lato życia, lato gorące, kwitnące patrzyło z ich twarzy, jeszcze znojem trudów i walk niedotkniętych, jaśniało w oczach, po brzegi pełnych zapału i nadziei. Rozłożyli się obozem, zbudowali ze splecionych gałęzi namiotów kilka: dla wodza, dla co lepszych koni, dla przyszłych rannych; u rozpalonego ogniska zgotowali sobie posiłek wieczorny i gdy roboty były już skończone, a na niebo nad lasem wzeszły gwiazdy, wzbili ku niebu i ku gwiazdom chór silnych głosów, śpiewających hymn skargi, ufności i prośby. Hymnu tego my, drzewa, słuchałyśmy zdumione, wtórując mu szepcąc ciekawości pełnym: „Co to będzie, co to będzie?”

Wodzem ich był człowiek świętego imienia, które brzmiało: Romuald Traugutt. Pytasz, dlaczego świętym jest to imię? Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko, co pieści, wszystko, co raduje i jest życia ponętą, czarem, skarbem, szczęściem, a wzięwszy na ramiona krzyż narodu swego, poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał. Nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko. Ale wówczas na czele hufca tego na tę polanę przyszedł i patrzyłyśmy na niego my, drzewa.

Po razy wiele w czasach dalekich spod głazu niewoli, który tę ziemię tłoczył, wzbijał się był słup ognisty ku obiecanej krainie wolności wiodący i gromady ludzi za nim szły. Wzbił się i teraz, gromady ludzi za nim poszły, ta była jedną z nich, a on jej przywodził. Widziałyśmy jego czarnowłosą głowę z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka. Oczy miał mądre, smutne – podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek – a uśmiech świeży, perłowy, z kroplą słodczy dziecięcej albo niewieściej. Przez czoło śniade palec tragicznych przeznaczeń wcześniej przeciągnął mu zmarszczkę surową, niekiedy aż groźną.

I głos jego słyszałyśmy z brzmieniem jak stal dzwoniącym, rozkazującym, niekiedy aż groźnym. Tak grmieć musiał w wąwozie termopilskim głos Leonidasa.

Skąd wiemy o Leonidasie? Pra-pra-ojcom naszym opowiadały o nim pra-pra-ojce wiatrów prędkich i nikt nie zgadnie, kędy, jak, kiedy o rzeczach wielkich i o rzeczach wiecznych rozprowadają wiatry drzewom, drzewa chmurom, chmury gwiazdom, gwiazdy duchom, a baśnie i pieśni, wieści i powieści płyną jak świat szeroko i jak wieczność długo...

Czy Leonidas wiedział, że gdy wąż termopilski trupami hufca swojego zasypie, stopa niewoli ziemi greckiej nie dosięże? Jeżeli wiedział, błogo mu było uścielać tę krwawą zaporę i jako pieczęć składać na niej siebie!

Ten nie wiedział. W orężnych sprawach ludzkich biegłym był, biegłość ta w dalekowiedztwo wzrok mu zaostrzała, spostrzegał wyłaniającą się z za dnia ofiar i boju potworną, czarną noc.

Jednak szedł i prowadził, bo taka była moc słupa ognistego, który wówczas nad ziemią wzbił się, taka tęsknota za obiecaną, oczekiwaną, za upragnioną, płomiennie kochaną krainą wolności i taki był krzyż narodu jego ciężki, nieznośny...

Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim potem, długo. Długa być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośne.

Teraz o jednym z bezimiennych, z najmniejszych, z najmłodszych, o tym, nad którego głową niemal chłopięcą ręką niewieścia ten mały krzyżyk zasadziła.

Piękny maj był na świecie, kiedy tu przyszli. Konwalie kwitły obficie jak nigdy, niedaleko stąd nad błękitną strugą w kalinowych krzakach śpiewał słowik. Zielono było na tej polanie od młodych traw i paproci, kwiecisto od konwalii i róż dzikich, wonnie, złoto i ciepło od wiosny. Gdy oni przyszli, uczyniło się na niej szumnie, dumnie i wesoło. Tak, tak, wesoło.

Nie niewolnicy to byli na arkanie przemocy do boju ciągnięci, lecz dobrowolni ofiarnicy wysokich ołtarzy. Ze światłem idei w głowach, z ogniem miłości w sercach, głowy i serca nieśli wysoko. Byli silni, śmiali, gwarni i czy uwierzysz, wietrze prędkie? – byli szczęśliwi. Zapewne uwierzysz, bo wiedzieć o tym musisz, że na Gwieździe, która nazywa się Ziemią, dusze ludzkie i szczęścia ludzkie istnieją w mnóstwie odmian i że, jak motyl na kwiat wybrany, dusza ludzka zlatuje zazwyczaj na tę odmianę szczęścia, która najwięcej do niej samej jest podobna. Ich dusze przyciągnęło ku sobie to szczęście, co rozkwita na wysokich górach i ma kielich purpurowy, a koronę uplecioną z cierni.

Nie tylko przyszli, lecz także i przyjechali. Grzmiała ziemia od biegu osiodłanych koni i powietrze iskrzyło się od błysków obnażonych szabel, ilekroć stalowy głos wodza zawołał:

– Jazda!

Na czele jazdy wybór wodza postawił młodzieńca o postawie wyniosłej i czarnym, iskrzącym się oku. Młody Herkules z kształtów, Scypio rzymski z rysów. Rodzinny dom jego stał niezbyt stąd daleko, od podstaw do szczytu opleciony bluszczem, otoczony gęstwiną drzew odwiecznych, rozłogiem pól żyznych. Spod zielonych bluszczów wyszedł, tutaj przybył i z posłuszeństwem dziecka, z pośpiechem kochanka biegł na swym strojnym, ognistym arabie, ilekroć rozległ się głos wodza, wołający:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.